

Dedykuję wszystkim moim Charonom,  
Bo każdy z nas ma własnego.

millo merquez

---

PółPrzewodnik, – czyli Proza Pijacka

**motto:**

*Cóż będę czynił w tak straszliwym boju?  
Wąty, niebaczny, rozdwojony w sobie?*

[M.S.S - „O wojnie naszej, którą wiedzimy z szatanem, światem i ciałem”]

## Chapter 1

*Najlepszy nie wart szeląga.*

[Waldemar Lysiak]



Johnny ocknął się z bólem głowy. Może to przez przyzwyczajenie lub przez dręczące uczucie pragnienia. Powziął pierwszą w tym dniu decyzję. Łaknął wody. Jak u zwierzęcia organizm instynktownie sprzeciwił się i bronił. Jednak dopiero teraz przebił się przez zasłonę znieczulenia i jak pierwszy mdły promień słońca, rzucił się bezlitośnie na siatkówkę oka, aby drażyć w pustce jeszcze działających synaps. Nie wiedział gdzie jest. Duszne ściany, barchanowe kotary i zgielek połyskujących flaszek, przywołał strzępy zdarzeń, jakby nie odbytych. Rozejrzał się dookoła, oceniając stopień zapełnienia, nie do końca opróżnionych butelek. Był rad, iż w lodówce czeka na niego zimne piwo i nie będzie musiał nigdzie iść, aby nieswój stać przed jeszcze nie otwartym sklepem. To sprawiło, że po mimo bólu uśmiechnął się i dopiero teraz spostrzegł, że wokół niego, jak mrowie, leżą kamraci do picia, o których wie tylko tyle, iż są jego przyjaciółmi, bo są z nim do ostatniego kieliszka, jego lub ich. Spojrzał po sobie, oceniając stan swojej zagadkowej garderoby. Nie była rozdarta, ani pomiętoszona – nie było tak źle – pomyślał – nie biłem się z nikim, ani nie oddawałem hołdów matce, w przyziemnej gimnastyce. Był rad, iż nie musi niczego prac. To go nastroiło optymistycznie i pozwoliło snuć plany, kolejnej radości z życia. Ale była impra – powiedział głośno, mając w zamiarze obudzić zaspanych dookoła. Żadnej reakcji, martwa cisza po libacyjnej społeczności. Nie przejął się, gdyż nie chciał widzieć swego wstydu w ich oczach. Wstał z barłogu ostatnich otepień. Nagle zalała go gorycz, zatracenia świadomości. Zachwiał się i w razie czego, osunął się z powrotem na niezbyt przyjemny koc. Przez jego oczy przyplłynęła energia światłości, która po ciemnych wampirzych godzinach - rani świeżością. Chwilę trwało, gdy zebrał się, aby powtórzyć wysiłek. Zaparł się i w zupełnym skupieniu, w jedynym

celu swej marnej egzystencji powstał na nowo, jak feniks z popiołu. Jak poczwarka kokon - rzucił, zostawił przeszłość minioną i powłókł się do wyjścia. Jedynej dla niego alternatywy – zimnego piwa, jedynej istoty dla niego przychylniej, która oddawała się za każdym dotykaniem jego ust na jej szyjce. Chybocząc się, z majakami narastających wyrzutów sumienia poszedł po nie. Droga była długa, każda minuta rozciągała się w wieczność zamyślenia nad swoim losem. Może nie - przeleciało mu przez myśl, jak ostatnie zwanie na tonącym okręcie – może podjąć dzisiaj trud trzeźwości. Przebić się przez ścianę fazy. Może czas przestać, który to już dzień? Ale czy wytrzymam narastający ból, narastające wyrzuty i bezsens trzeźwej egzystencji. Bez podniet, bez chwilowych, ale jak ważnych ekstaz szczęścia. Bez brzęku kieliszków, bez jej kształtów, bez jej smaku? Dzisiaj dam radę. Przyrzekłem sobie to wczoraj, lub przed, przed... wczoraj. Wyrwę się stąd, ucieknę, odejdę, zostawię te hołotę, pseudo przyjaciół, pijaków na skrzydłach alkoholu. Dziś dam radę, pomodłę się, Bóg mi pomoże, da mi siłę, zwalczyć ból, wyprowadzi mnie z ciemności i powie: „Byłeś okłamywany, są inne lepsze światy”. Wskaże promyczek nadziei. Nikłą drogę do odkupienia. Wąską gardziel do normalności. Ale czy podejmę trud, do rzeczy których nie znam. Czy człowiek, który nie był nigdy na zewnątrz, zrozumie Dobrą przestrzeń, pojmie naturę Nieba, doceni smak Anielskiego wiatru. Czy zawróci, podziękuję i wróci do swej jaskini, gdzie tkwił i tkwić będzie, otoczony kręgiem szubrawców. Chwycił poźółkły krawędź drzwi od lodówki i zawahał się. Nagle ocknął się. Ideały, próby walki znikły, rozmyły się w poświęceniu rytuału, w ciepłe przyzwyczajęń, w sady ztracenia. Zamknął oczy - jutro, jutro podejmę trud. Dziś jestem za słaby, Nie dam rady. Ale jutro... – Chwycił szybko butelkę i rozdarł wieko, zapach zła, szarym popiołem zaległ w jego nozdrzach. Popatrzył na szyjkę, zerknął na zewnątrz i wypił – ty jedyna mnie rozumiesz, kochanka, sługę, żebraka. Duszką pograżył się w niej cały. Już nie było odwrotu. On to wiedział. Musiał pić już dzisiaj aż do końca. Do ostatniego łyka, do ostatniej kropli tańczyć z nią, pieścić zmysły, kaleczyć ciało, kierując się do następnego ztracenia w nicość. W piękną nicość bez przyszłości. Wędrując z krzyżem na golgotę szubrawców...

## Chapter 2

*Przyjacielu — rzekł — cuchniesz winem i zawadzasz mi*

[Henryk Sienkiewicz - „Quo Vadis” - Petroniusz]



Johnny ocknął się z bólem głowy. Gdzieś nad ranem, w sennym półmroku chłodu,. Z niewyjaśnionym przyczyn jego koszula była gdzieś na nim niecała, rozdarta, w strzępach lub zanikła, wtedy nie wiedział, nie zastanawiał, jeszcze tego nie roztrząsał. Przewrócił się na drugi bok, i również nie zaznał szczęścia. W napływie chwilowej witalnej siły, powstał, aby runąć ponownie gdzieś blisko, na łożu obok. Zapadł jak kamień w otchłań snu, utulony. Promienie słońca obmyły go gdzieś przed południem, wtedy dopiero otworzył oczy i przypomniał sobie, że gdzieś w trakcie nałożył na miejsce, piżamę, gdy czuł zimno. Trwał tak przez chwilę, nie otwierawszy oczu, aby nie czuć bólu dnia. Jednak nagła myśl, łaknienie wody kazała mu się zerwać i biec, porywczco w stronę lodówki, w której były cytryny. Dwie żółte, soczyste, czekające na niego jedyne, na jego usta, na jego dotyk i strawienie. Pospiesznie sporządził miksturę, bez której nie dało się żyć. I pił ją łapczywie, w porywie rozkoszy, sączył jej siłę, zadając ból szklance, ból straty. Za mało cukru, jakiś mały impuls, z powolna zanikający, połaskotał jego stan, żądając zmian. I sypał cukier z drżącymi rękoma, w chaosie zmagania się ze sobą. A dzień był niedzielny. Radosny, wokół niego. A on smutny zaległ w długi stan oczekiwania, na możliwość kontynuowania samozniszczenia, ponownego, długotrwałego samoukamieniwania własną ręką i kieliszkiem. Ponownie się ocknął i mógł wstać, dopiero teraz falą zaczęły wracać problemy dnia terażniejszego, i zgubny dzień wczorajszy. Po co oni się z nami bili? Czemu mam rozdartą koszulę. I jak rozdartą, czy to się stało w łóżku, jakiś bolec i szarpnięcie, czy nóż i rozcięcie? Wstał chybocząc się, w błędniku przemyśleń, brnął w wspomnieniach, niestety zaszłych. W jeden dzień, był

szczęśliwy, z kochającą kobietą, był z kobietą która go nienawidziła, z kobietą która go rzuciła, jego własnym poczynaniem i słowem. Było to rano, bardzo wcześnie, gdy pierwsze promienie otworzyły oczy, a on nie zasnął w uścisku uniesień. Ona nie wyszła, czekała jak zaśnie, aby wymknąć się jak zdradzona sarna, przed obrzynem. On ocknął się dużo później, bez niej, w pustym pokoju, bez alternatyw, wtedy wiedział, iż zaśnie zamroczony, zaśnie bez złudzeń, okropnie i dziko zalany na wieki. Po tym jak czuł radość, pocałunek słońca na błękicie i powiew gwiazd. I kobiety były, ognisko i śpiew. Na plaży ze światełkami migoczącymi w oddali okrętów, które zapadały się w niepewność nocy. To wszystko przeżył, choć pozostały rzeczy nie wyjaśnione.... Odkręcił kurki, oczyszczająca woda poczęła lać się w zabawnym szumie. Zdjął po męsku koszulę, tylko to robił po męsku i w lustrzanym odbiciu zobaczył ślad noża, na jego bladej wysuszonej wiatrem i alkoholem skórze. To, dlatego koszula jest rozdarta, wtedy sobie uświadomił, że mógł zginąć i nie pamiętać tego. Ścierał ślady krwi, które rozmywały się tworząc róż, pięknych obrazów, jego życia. Balansowanie nad przepaścią, codzienne żegnanie się z życiem, przez głupotę nałogu. Na ramieniu, spostrzegł siniak i nie wiedział, czy on powstał wczoraj, czy dużo wcześniej. Czy wtedy, jak ledwo stał, w próbie walki, z rozwścieczonymi osobnikami, mu nieznanymi. Którzy na drodze pod parkowym brzaskiem zaczęli się dzielić z nim nienawiścią. Pamiętał jak dwa razy padł pod krzyżem, pchnięty przez ludzki gniew. I tylko dlatego, że miał tę koszulkę, pozostałość marzeń, dziecięcych planów, radości szukania głębi w przyszłym losie. Powoli dochodził do siebie, zimne strumienie głaskały go prowadząc do normalnego stanu, w którym mógł zacząć od nowa. Uczesał się, ubrał w nowe ciuchy, stare zielone otoczone złotym piaskiem i brudem nocy, wrzucił do kata, smrodliwości. Świeży, wesoły, pijacką wesołością, opuścił mieszkanie i udał się ku słońcu, ku wiatru, ku przygodzie, kolejnych zmaganiań ze sobą i alkoholem. Obrócił się w prawo, później w lewo, krótko się zastanowił i rozpoczął wędrówkę, na wprost, ku niezawilym celom, zjeść obiad, na śniadanie, wypić piwo na powitanie, później może troszkę wina i uda mu się z kolejną dziewczyną. Tu się uśmiechnął i poczuł, że się nie rymuje i że nerwy przed, są o wiele rozkoszniejsze, niż niepokój związane z rozstaniem. Poprawił marynarkę i skoczył w kolejny dzień, wspiął się na grzbiet fali, i popłynął nią kierowany, do zatracenia....

## Chapter 3

*Pustka wokół nic nie ma, nie jest nawet pustką.*

[ Umberto Eco - "Baudollino" ]



Johnny ocknął się z bólem głowy. Nie mógł spać, przed zaśnięciem zbyt mało wypił, to nieustannie wyrывało go ze snu, nasuwając dziwne leki i obrazy. Kilka razy zrywał się w środku nocy, obłany zimnym potem, uświadamiając sobie, że jego koszmar senny wciąż okazuje się pustką. Brakiem jakichkolwiek obrazów, marzeń sennych, czy podniet onirycznych. Ogromna, pustka, wokół, której nic nie było, nie pozwalała spać. Odpędzała śmiałka, bez fantazji, z grzechem na karku. Nawet nie czuł pragnienia i palenia w żołądku. Które pchało Inków do samozniszczenia, pod wpływem ognistej wody Europejczyków. Był sam w ciemnym pokoju. Gdzieś nad ranem wałęsał się między jawą a piekłem długiej nocy. Przewracał się z boku na bok, nie znajdując siebie. Przytłoczony przemyśleniami, które nie dawały chwili spokoju, które wwiercały się wielkim wiertłem wyrzutów, które sprawiały ból myślenia nad swoimi błędami. „Jak długo tak można, jak można się tak truć, jak głęboko można tak brnąć w rynsztoku, jak tak można?” Przewrócił się na drugi bok i przeklął cały ten świat, samotne długie noce i bezsenność niedopitego. Nagle wstał i ubrał się. Wdział stary płaszcz. Wielokrotnie zastawiany i besztany przez alkoholiczny los, i wyszedł gnany złością. Na ulicach nic nie było. Z szarości spozierał głuchy warkot biedy, odbijając się od złachmaconych okiennic, dając efekt szumu, obtuszczonej szklanki przyłożonej do ucha. Wtulił się w kołnierz i brnął przez zasy odwilży w swojej krwi. Otaczał go smutek przegranych, idących do roboty o 4 nad ranem. A on przedzierał się inny, szukając ludzi, takich jak on. Którzy o tej godzinie kradną konie przy ogniskach, na bieszczadzskich połoninach. Zachnął się nagle, wytarł but i mruknął: „wszystko to gówno” i włókł się dalej, mizernie, ze zwycięzcami golgoty. Uciekał, od rozterek, problemów, uciekał od trzeźwości, która

go dopadała. Szedł przed siebie, w zimny ranek obsypany pieprzoną białą mianą, która już dawno nie nadawała się do spożywania. Szedł zapatrzony w bruk, fragmentami odśnieżony, bezproduktywną pracą żebraczą. Kroczył w dal wijącą się ścieżką, bez końca, prowadzącą do nieuchronności, do zapomnienia. I widział slogany, bilbordy, na których piękni, młodzi, z niewinnością Pariasa, oferowali Wolne unie Niewolniczej pracy, agitowali z drżącymi ustami, nikłych myślowych wytrysków, pochwałę Niewiedzy. Siłą mięśni i pustynią duszy, zapewniali iż prowadzą tylko Pokojowe Wojny. I dreptał tak, w kałużach przyziemnych, pod sloganami kolorowych jarmarków próżności. Coraz bardziej cały świat zaczął go drażnić, gdzie spojrzał widział śmieci, i opary zgnilizny. W twarzach mijanych widział pustkę, jak jego sny. Nie widział w nich nic, jak automaty pracowali na chwilowe barwy życia. Pośpiesznie wijąc się w cyrku konsumpcji. Niosąc naręcza, niezbędnych pralek, telewizorów i automatów, strojów fikuśnych, z taśm produkcyjnych, z fabrycznych kotłów, masowych tirów. A wszystko potrzebne, niezbędne, konieczne, nie wystarczalne, już za mało użyteczne. A wszystko wykwintne i w dobrym guście, modne w ich klasie, takie same wszystko. Nawet myślami, chwilowe nastroje, prądy umysłów, z wtyczką, z pilotem. Wszyscy poprawni, zgodni w opinii, demokracji jednogłośnie chórem. „I rzygać się chce, nawet nie pijąc”, pomyślał próbując się oddalić. Pierwsze słońca promienie, obmyły starców wymięte postacie i hałaśliwe tornistry młodych. I w nich widział nadzieję. Że może stanie się coś, taki cud narodu. Starzy, co przetrwali zawieruchy wojen, wyszli z historii odbytów i zdjęli nareszcie łańcuchy gułagów, przekażą te prawdy, stare w książkach od wieków. Odwrócą uwagę, od teraźniejszych potworności bajek. Ależ nie, prawie wszyscy są już na kształt ich ojców. Wulgarni i prości, bez ideałów, z pałką na plecach, bezmyślni myśliwi. A córki, jak matki, sprzedajne za kury. Gdzie iść, gdzie spojrzeć, to samo, i ta spiekota i narastający ból głowy, ta złość bólów wszelakich. Same nogi na peryferia prowadzą, palec wodzi na marginesy i już próg przeskoczywszy, szuka ręką drżącej narkozy. Poproszę „czystą ojczystą”, wstrząśniętą, zamieszaną, od Piastów w te same dzieje. I podała mu baba z konsumpcji, otyła hetera, która po jednym głębszym, piękna jak okręt, mogła już z nim konie w galopie kraść, pod pełnymi żaglami...



## Chapter 5

*Ten kto kocha swoją celę, znajdzie w niej spokój*

[Gustaw Herling-Grudziński – „Inny Świat”]



Johnny ocknął się z bólem głowy. Przez powieki przesiąkał kolejny dzień. Promienie brzasku obmyły jego obolałą twarz i dały do myślenia. Gdzie jestem tym razem? Może dlatego pił, może to dla tej porannej niepewności, a może po prostu, że lubił, albo tak bardzo nie cierpiał i chciał zapomnieć... Nagle z półsnu, wyrwał się otępiąły, ze złym przeczuciem. Rozejrzał się po białych, zimnych ścianach, kremowym, zataczęłym suficie i stwierdził, że tym razem nie ma wyjścia. Od świata rozdzieliły go kraty. Słysząc było, pod oknem radosne krzyki dzieci, przejeżdżające samochody, oddech wolności i zimno celi. Usiadł na pryczy, obnażony, w nowym zgrzebnym ubraniu, w jałowym wnętrzu najstarszej tortury i zaczął się zastanawiać. Czy to koniec? Czy tak wygląda piekło, a ja przekroczyłem barierę strachu, nie wiedząc o tym. W lunatycznym chodzie alkoholowego astronauty przebiłem zasłonę bytu? I trwał tak sam, ze światem gdzieś daleko, zawieszony w nicości swoich przemyśleń, w niewiadomym bycie, aldehydowego bólu dnia kolejnego. Tylko uczucie ognia w brzuchu, przewyższało niepewności skołatanych chwil. Pytania gdzie jestem, i czemu, były bezsensowne, bo zadawane już od pierwszego kieliszka, od pierwszego upojenia i dziewiczych haftów. Położył się na pryczy próbując zasnąć na fali przemyśleń. Próbując dotrzeć do końca wczorajszego dnia, zatrzymać się na plaży i w słońcu w zenicie, stroju bikini rozgrzanych ciał. Wtedy to był raj, uśmiechnął się z bólem i już więcej nie próbował. Zastygł, znieruchomiał, przez chwile nigdzie nie szedł. Zasnął, a sen sprowadził wybawienie. Śniły mu się koszmary, śniło mu się, że nie ma wódki, że nie pije i jest prawdziwym chrześcijaninem. Śniło mu się, że sprzedawał gorące psy w koloseum rzymskim i zszedł na arenę, bo ktoś przed śmiercią chciał spożyć ostatnią wieczerzę. Na widownie go już jednak nie wpuszczono, bo który patrycjusz lituje się nad umierającymi. To był straszny sen,

obudził się zalany potem, w chwili gdy w takt radosnych pieśni, lew rozszarpywał mu wątrobę, która była zbyt słaba by odrastać. Dzieci wciąż grały, w swoje radosne płąsy. Pomyślał raz ofiarą, a raz lwem i przeszedł się po swojej klatce, czując złość, wściekłość, żal. Jak mogłem być tak głupi i dać się złapać. Czemu nic nie zrobiłem, nie zareagowałem, walką, morderczą walką o wolność, czemu nie uciekłem, czemu dałem się schwytać w obławę trzeźwego prawa. Był zły, ogromnie zły na siebie i na trzeźwość, że próbuje go usidlać, zmieniać, resocjalizować. Dzieci odeszły, pozostawiając przez krótką chwilę echo ich wolności, które powoli przeistaczało się w pustkę, zupełną pustkę oczekiwania na nic. Mijały długie minuty rachunku sumienia, gdyż trzeźwość zalała byt lękiem, drżeniem, bólem. Gdzie ja to wszystko zacząłem, pomyślał próbując zdać sobie sprawę, od kiedy tak właściwie, gdzie? Czy to było wtedy, gdy od imprezy do imprezy nurkowałem w pojedyncze odurzenia, czy wtedy, gdy okresami nie pozwalałem wrócić do trzeźwości, czy już wtedy gdy, wypilem pierwsze piwo i pierwszy raz spędziłem noc nad muszlą, kojącego szumu, nie morza, ale w głowie i wodospadu wydalini. Gdzie to się zaczęło? Może to nie ja zacząłem, może to wtedy, gdy ludzkość pierwszy raz się upiła sfermentowanym płynem, który jak i oni przeszedł ewolucję, aby jeszcze bardziej upadlać i wtrącać, bardziej oslepić i poniewierać, dać zapomnienie i powrót w chaos, coraz większy chaos. Jebany chaos, patologii, ryzostoków, krat, przegranego życia. Na siatkówce oka obrazy zmieniały się błyskawicznie. Rodzice, dom, młodość, radość, miłość,... wszystko, jak ja dawno tego nie widziałem. Ręce poczęły jeszcze bardziej drżeć, a ciałem targnął dreszcz i skurcz wszystkich mięśni. Na skroń rzucił się łoskot i skrzyp myśli odebrał świadomość, nadając nową. Więziennego krzyku, wybałuszenia leków i gniewu, wielkiego gniewu wtrącenia w trzeźwość. Ciałem poczęły targać drgawki. Pierwszy atak, drugi, dajcie mi kurwa wódki, słyszycie kurwa, dajcie mi pierdolonej wódki. Z wątlęgo ciała poczęły strzelać bicze agresji, mordy i desperacji. Nic się nie działo, próżnia, mur, bez jakiegokolwiek za nim głosu. Opadł z sił, stracił świadomość – traumatycznie patrząc wytrzeszczem w ścianę. Zaległa cisza, biała, kremowa, zatęchła. Później było tak samo, z wyjątkiem brzęczenia żarówki, która zapalona przez trzeźwych, nawet na chwilę, nie pozwalała zniknąć bieli, symbolu walki ze złem.

## Chapter 7

*Bo wiem, co własność ma – co ścierpieć muszę – bo już się znam*

[Kamil Cyprian Norwid – "PIEŚŃ OD ZIEMI NASZEJ"]



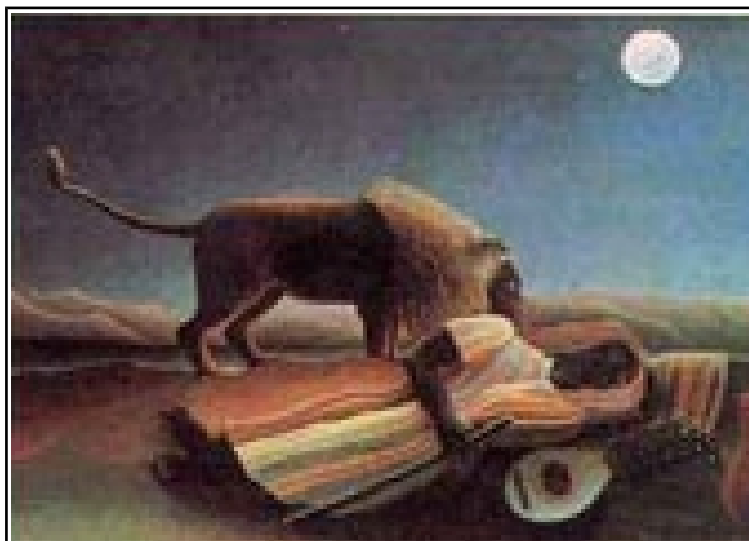
Johnny ocknął się z bólem głowy. Tym razem wiedział gdzie jest. Zupełnie wytrzeźwiał. Przez długie godziny spędzone w areszcie dochodził do stanu, w którym już dawno nie był. Stanu ulicy, stanu bolesnej rzeczywistości jednego z milionów, który nagle przebudził się. Racjonalny i na pozór spokojny zobaczył, że nikogo przy nim nie ma, a on leży w otaczającym mrowiu. Ktoś przeszedł koło jego twarzy, oślepiając go jego własnym odbiciem. W lśniących pantoflach zobaczył siebie, takim jakim był naprawdę. Zepsutym, podstarzałym od nałogu człowiekiem, w wytartym drelichu, szarej automatyki społeczeństwa. Zobaczył, że jest zwykłym Jaśkiem takim z prowincji, z blokowego poligonu wegetacji. Minuty mijały, a on wiedział, że nie ma po co i dla kogo wstawać. Wiedział, że nikt na niego nie czeka i nikt już się nad nim nie zlituje, a on nikomu już nie zaszkodzi. Ani żona, ani dzieci, które już dawno odeszły, uciekając w dorosłe życie wolne od jego melin, ich biedy, poniżania, wolne od goryczy głodu, bezsennego szłochu, codziennego bólu. Które teraz i oni zadają, w ten sam sposób swoim dzieciom. Nie miało tak być, mieli być inni. Nie mieli powtarzać błędów, które były już raz popełnione. Jednak chcieli odejść, chcieli kolorów w ich życiu, chcieli uniesień, słońca w zenicie. A potem jak to już mieli to nie chcieli wracać, wyrwać się ze snu i zbierać drobne na chodniku życia, w rzeczywistym brudzie tego padołu. Nie chcieli płacić podatków, które znikają bez echa w studni bez dna. Nie chcieli całe życie być małymi złodziejaskami, którym biednie, ale których od razu wieszają. Nie chcieli widzieć codziennie, tych wszystkich twarzy ludzi zmęczonych, ogromnie zmęczonych w sile wieku. Nie chcieli. Woleli tam. A może to i lepiej – wyszeptał i powstał, a z góry świat był jeszcze gorszy. Musze przedostać się na drugą stronę. Brzydzą się tym wszystkim. To kraj dla głupków. W którym ani nie będziesz świętym, ani bohaterem, bo ich nie ma i nigdy tu nie istnieli. Co najwyżej możesz zostać idolem w videofonie. Wyższym

urzędnikiem lucyfera, gdy zjesz wszystkie moralitety i pogwałcisz wszystkie prawa. A i tak nie będziesz szczęśliwy, bo zawsze znajdzie się gorszy, a „Lepsi” po śmierci sprawią, że to ty będziesz gorszy. Zawsze będziesz mieć pod poduszką odbezpieczoną broń, bo to tylko kwestia czasu. Pyskam stąd, granicą, zieloną lub kartą. I ruszył równym marszem bez uczuć. Do pierwszego monopolowego, a z tym nie było problemu, bo od kiedy zagraniczne koncerny, zaczęły przejmować Euroazję, alkoholu było pod dostatkiem. Wódka była tańsza od popitki, ba była tańsza i mniej wyrafinowana niż zapomniany korniszon. Ale koniec tych myśli – warknął - co gdzie teraz jest. Ważne jest, który Charon popłynie na drugą stronę. Wdarł się do środka zaśnieżonego lokalu, który wydał mu się znajomy, jak zresztą wszystkie, bo czy na pewno nie było zawsze tylko jednego. Kobieta z konsumpcji naląła mu dwie setki i z grymasem grubych polików uśmiechnęła się wyzywająco - „to co zawsze, lornetę?, ach, z pana to artystyczna duszyczka. Coraz mniej już takich. Pusto się robi, interes coraz słabiej idzie, co mądrzejsi uciekają, to wszystko przez tych farmaceutów z neserami...” Nie słuchał baby, całą uwagę skupił na dwóch kieliszkach, kieliszeczkach pełnych płynu, jego Graala, fascynującej fluktuacji lepkości na wszystkich możliwych kształtach, kapek, naparsteczków, szklanek i olbrzymich butelczyn z wódką. Już zbliżył pewną dłoń, uprzednio posuwając opuszki palców po lepkiem trotuarze okrucich, aby już pochwycić, przybić do brzegu. Ale poczuł rękę, jakby sprawiedliwości, trzeźwego prawa, na swoim ramieniu. Skamieniał. Serce poczęło dudnić, tak jakby serca wszystkich do koła na raz, pot zrosił pomarszczone czoło słoną wydzieliną, a nogi skurczyły się, jakby uciekły zostawiając go samego, nawet nogi ostatecznie okazały się zdrajcą, a nigdy wcześniej by o to ich nie podejrzewał. Spokojnie panie S., co pan taki nerwowy, Mamy dla pana propozycje, która powinna pana zainteresować. Otóż nasza firma, oczywiście z wieloletnim doświadczeniem, mamy zresztą na to cyrografy, wchodzi właśnie na rynek Euroazji i w związku z promocją, nawet pana i innych na to stać. O czym mogą poświęcić Ci inni, swoją już tu nie bytnością, oczywiście. Mianowicie, wynaleźliśmy pewien eliksir. Bo już dawno zdaliśmy sobie sprawę, że alkohol to szaleństwo. Ale tylko my wyprzedziliśmy konkurencję, obniżając koszty produkcji. To co decyduje się pan?

## Chapter końcowy

*Dotąd i ani kropli więcej*

[Irlandzki poeta]



Johnny się nie ocknął, choć ból głowy pozostał...

---

*I tak kończy się ta próba opowieści o pogoni za szczęściem, o której powiadają, iż jest przeważnie bezcelowa; ale dla której, warto poświęcić życie?* Marek Hlasko – „Piękni dwudziestoltni”

Millo Merquez  
trojmiasto zimy 2003

## Posłowie

Nie zmażę tego, aby mnie do końca życia ostrzegało i abym już się nie dał zamknąć.  
Bo „poeta śmietników jest bliżej prawdy niż poeta chmur” [Tadeusz Rozewicz]

